

Odstąpił o krok. Zdawało się przez chwilę, że rzuci się na reżysera z pięściami. Ale ten odrzuciwszy w tył dumną głowę odtrącił go od siebie potężnym spojrzaniem. Aktor cofnął się i odszedł zwolna zupełnie zgnębiony i rozgoryczony.

Bruno Brown spokojnie zapalił cygaro.

Schodząc na dół do atelier posłyszał dochodzący stamtąd jakiś głuchy zgiełk, łoskot i urywane okrzyki.

Niespokojnie przyspieszył kroku.

Wszedł na halę i oczom jego przedstawił się straszny widok.

Niedaleko od niego leżał rozpostarty na białym prześcieradle straszny, skrwawiony trup Teddy'ego Buckingham, a w głębi koledzy jego szamotali się rozpaczliwie z nadbiegającą zewsząd chińską hołotą.

Oskar Lehnert z rozwianą czupryną w bojowym zapale wywijał krzesłem, waląc straszliwym młynem we lby napastników. Amerykanin młócił zaciśniętymi pięściami obskakujących go Chińczyków według wszelkich prawideł boksu, a obok nich rzucali się, jak wściekli pozostali aktorzy.

W kącie przerażone kobiety krzyczały przeraźliwie, tak jakby tu w tym gmachu był ktoś, kto by im mógł pospieszyć z pomocą.

Smith zaklął okropnie i porwawszy statyw aparatu oparty o ścianę skoczył, jak ranny tygrys pomiędzy walczących. Ale przemoc kilkakrotnie liczniejszych nieprzyjaciół była zbyt wielka. Chińczycy ubezwładnili aktorów i wlekli ich ku wyjściu, by ich powieść przed oblicze „Demon”.

Ale ten nadbiegł sam.

— Co to?! — huknął potężnie, a na dźwięk tego władczego głosu wszyscy zadrżeli i ucichli. — Co znaczy ten trup na podłodze?! Cóż to za idiotyczny bunt, panowie?!!

Aktorzy milczeli wściekli.

Zabrał głos jeden z przybocznych ludzi Browna.

— Panie. Ten człowiek, ten oto, którego trup leży tu na ziemi usiłował zbiec. Pogoń dopadła go już w hallu bliskiego wysłiznięcia się z naszych rąk. Bronił się, zadając rany na prawo i lewo sztyletem. Czterech ludzi jest rannych. Jeden z Chińczyków pchnął go nożem w bok. Śmierć nastąpiła natychmiast...

— A ta bójka tutaj w atelier?

— Panowie aktorzy na widok zamordowanego wpadli we wściekłość i rzucili się na nas, tak, że musieliśmy ich ubezwładnić...

Brown myślał przez chwilę.

— Bardzo mi przykro, że doszło do przelewu krwi — odezwał się. — Ten człowiek jest sam sobie winien. Póki panowie lojalnie zachowywali się wobec mnie, nie zagrażało nic waszemu życiu. Sądzę, że coś podobnego już się nie powtórzy...

Aktorzy słuchali tej przemowy w milczeniu zaciskając zęby. Smith klęczał nad ciałem towarzysza.

— Narazie państwo jesteście mi jeszcze potrzebni. Potem wypuszczę was na wolność i wypłacę odpowiednią gażę... doprawdy, że nie spodziewałem się takiego zajścia.

To mówiąc skłonił się i wyszedł.

Na chwilę zatrzymał się w drzwiach i odwrócił głowę.

— Dobranoc — pożegnał jednym słowem swoich więźniów.

Zniknął we wyjściu.

Aktorzy ponuro rozeszli się do swoich gabinetów.

Trupa biednego, krwawego ich kolegi wynieśli na noszach Chińczycy.

Brown wrócił do swego salonu i wdziawszy wygodną pyjamę, zdobną w srebrne, barokowe kwiaty i liście, rozłożył się leniwie na otomany i założywszy nogę na nogę palił wonne cygaro.

Rozmyślał nad sytuacją wpatrując się machinalnie w równutką, błękitną tasiemkę dymu, pnącą się wysoko do góry z wnętrza opiumowanego cygara.

Rozwagała bystro i trzeźwo, myśl jego pędziła, jak elektryczny prąd po drucie, rozumował błyskawicznie i zwinnie, z ogólnego spłotu wypadków budując sobie szarady i rozwiązując je momentalnie jedną ćwierć sekundą. Z maleńkich nic nie znaczących szczegółików i drobnostek wyciągał przemyślane wnioski.

Czuł to aż nadto dobrze, że igra z ogniem.

Zuchwałość jego bodaj, że przebrała miarę.

Rozwaga hamowała go nieco, stawała naprzek dzikim wybrykom jego temperamentu i awanturniczej żądzy niebezpieczeństw, w których czuł się, jak salamandra w ogniu — ale w chwilach wulkanicznych wybuchów swych podrażnionych namietności przechodził nad rozwagą do porządku dziennego.

Aktorzy buntują się, policja osnuwa go ze wszystkich stron siecią szpiegów, detektywów i przebiegłych podstępów, jak pajak muchę... Lada chwila dotrą do jego kryjówek i wówczas trzeba będzie stanąć do walki na śmierć i życie. Ten przeklęty Borghe zagiął na niego parol.

Ufny w rozpetane żywioły złych instynktów ludzkich, ufny w straszliwy, przyciągający wpływ swoich filmów na miasto — w tem tylko główną pokładał nadzieję...

Ratował go kult kina „Demon” i bajeczna popularność „dyrektora Blanka”. Gdyby nie opór sfanatyzowanych na tem tle tłumów dawno już i z pewnością policja zamknęłaby ten jego „Teatr Przeróżności”. Ale i tak grunt powoli usuwa się z pod jego nóg. Trzeba być bardzo, bardzo ostrożnym i czujnym...

Myśli snuły się, jak długie, nieprzerwane nici.

Wtem u drzwi rozległ się jakiś szmer.

Nieśmiałe pukanie...

— Wejść! — zawołał nie podnosząc się z otomany.

Portjery rozchyliły się bezszelestnie i do pokoju wbiegła, a raczej wśliznęła się jak kot miss Mary Marburg — „gwiazda stolicy”.

Stała przed nim o krok od otomany i spuściwszy nagle oczy milczała, jak onieśmielony dzieciak...

Bruno Brown uniósł nieco głowę, przeciągnął się leniwie i patrzył na nią także bez słowa, puszczać z ust i poprzez nos raz po raz duże kłęby dymu. Ziewnął...

Ślawna aktorka zakochała się w „Demonie”... Widzieli to wszyscy jej koledzy i po przyjacielsku perswadowali jej śmieszność i nierozsądek tego uczucia, ale Mary pozostała na te wszystkie życzliwe rady i koleżeńskie strofowania głucha i obojętna.

Cóż ona może poradzić na to? Kocha. Ten straszny, narzucający swą wolę człowiek porwał ją, zaimponował jej, wstrząsnął do głębi jej jestestwem.

— Oto tygrys — szeptała do siebie, wodząc za nim w czasie zdjęć rozmówianami oczyma. — Oto indyjski tygrys, ciemniejszy i mocar...

Reżyser widział to również, ale poza grą ignorował ją poprostu. Nie istniała dla niego. Patrzał na nią, jak na powietrze. To wyprowadzało ją z równowagi, denerwowało i wprawiało w stan anormalnego podniecenia.

Pierwszy raz spotkała kogoś, kto nie wielbił jej, nie bił przed nią pokłonów i lekcewał jej cudną, olśniewającą urodę i blask sławy jej niezwykłego talentu. Próbowala wszelkich sposobów. Była dumna, sztywna i wyniosła, była cicha, potulna i nieśmiała, — wyzywająca, drażniąca i pełna śmiałej kokieteryj, — smutna, przygasła i tragiczna.

Wszystko na nic. „Demon Filmu” pozostawał obojętnym na jej wdzięki...

Oto teraz zdobyła się na odwagę i weszła do jego pokoju. Ale czemuż to ona, Mary Marburg, pogromczyni serc i „lwica” salonowej konwersacji stoi bezradna i głupiutka przed tym bezczelnym arogantem rozwalonym wygodnie na kanapie i nie śmie wymówić ani słowa.

Bruno Brown przemówił nagle...

— Aaa, dobry wieczór pani... No wie pani, co za roztargnienie. Zupełnie zapomniałem, że to kobieta stoi przedemną... Ale pani wybaczy, że nie wstaję i nie podsuwam krzeselka...

— Nic nie szkodzi — szepnęła zdławionym głosem.

— Prawda? — ucieszył się obłudnie. — Cóż to szkodzi. Pani jest bardzo dobra...

Twarzyczka jej rozjaśniła się na moment.

...dobra aktorka — kończył Brown — i ja — niech mi pani uwierzy — szanuję panią bardzo... Ale a propos niechże pani siada...

— Dziękuję, będę stała — bo... bo zaraz sobie pójdę...

— Ah, więc pani... zaraz sobie pójdzie... hm, i dlaczegoż to? Czyżby moje towarzystwo było, aż tak nieznośne dla pani...

— Pan drwi, reżyserze — zachnęła się i duże łzy błysnęły w jej oczach...

— Hallo! operator! — huknął Brown...

— Co to? co pan robi?! Proszę nie wołać nikogo.

— Nie, nie, ja tylko chciałem... tego... chciałem zrobić zdjęcie. Efektowne, co? — zaśmiał się wesoło, jak łobuz. — Scena przepyszna. On na kanapie, ona stoi, on się śmieje, a ona łka boleśnie...

— Konstatuję ze smutkiem, że pan jest jednak złym człowiekiem...

— Też nowość! — parsknął szorstkim chichotem. — Wróble już o tem ćwierkają na dachu, że ja jestem złym człowiekiem...

Odwrócił się i strzepnął popiół do złotej popielniczki po drugiej stronie otomany na stoliku. Ziewnął raz jeszcze bardzo bezceremonialnie i wziął w rękę popielniczkę ozdobioną nagą statuetką japońskiej gejszy w jednej z tanecznych poz...

— Ho, ho — dziwił się — ładny wyrób. Gejsza. Ładna to rzecz gejsza. Ho, ho... gejsze mają bardzo przyjemną skórę... skórę, jak chiński jedwab, jak atlas gorący... Ale co pani może o tem wiedzieć... Albo zresztą... mam myśl. Mógłbym pani zapewnić „engagement” gejszy w Jokohamie... Chce pani? Nie wiem tylko, czyby pani się zgodziła oddawać się Japończykom... Wy Europejki macie wstręt do ludzi żółtej rasy. Ja nie. Mnie to nie razi. Mój Boże — westchnął — ileż to razy splatałem swoje ciało z gibkimi ciałami tych tancerek...

Odwrócił szybko głowę.

— Pani jeszcze stoi! — krzyknął tak niespodziewanie, że aż zatrząsa się ze strachu. — Niechże pani siada, proszę.

Odwrócił się wolno na drugi bok zwracając się ku niej twarzą. Oparłszy głowę na dłoniach wpatrywał się pilnie w jej nóżki...

— Pani ma bardzo ładne nogi — skonstatował kategorycznie.

Dotknął lekko końcami palców jej kolan.

Mary zadrżała konwulsyjnie pod jakimś strasznym, nieznanym jej dreszczem...

Zaśmiał się.

(Ciąg dalszy nastąpi).